

# Kronika tygodniowa.

Kończąc poprzednią kronikę wzmianką o ś. p. Dyogenesie, ani nawet przypuszczałem, iż niniejszą od niego zacząć mi wypadnie.

Otrzymałem bowiem w kilka dni po ukazaniu się numeru *Nowości ilustrowanych* list, który w jakiś zagadkowy sposób dostał się na me biurko. Nikt z personelu redakcyjnego ani administracyjnego nie mógł mnie objaśnić, skąd on się tam wziął, kto go przyniósł i kiedy. Był bez marki i urzędowych pieczęci, widocznie więc musiał go doręczyć jakiś prywatny posłaniec.

Treść była następująca:

„Kochany Kronikarzu!

W zakończeniu swej kroniki w ostatnim numerze pisesz, iż, chcąc dziś znaleźć jednostkę, która nie miałaby zamiaru zrobić interesu na wojnie, trzeba byłoby pójść w ślady Dyogenesa i w jasny dzień szukać jej z latarnią po mieście, więc chyba nie zastanowiłeś się nad tem, że i ten sposób nie mógłby mieć pożądanego skutku. Wiadomo Ci zapewne, że latarnia o tyle może mieć zastosowanie w poszukiwaniach za kimś lub za czemś, o ile zaopatrzona jest w lampę z naftą, lub choćby olejem, albo świecą. Wy znacie dziś i inne sposoby świecenia, n. p. elektrycznością, o czem za mych czasów, a były to czasy dawne, ale dobre, nikt nawet nie słyszał.

Gdyby więc chciał kto dziś pójść rzeczywiście w moje ślady, musiałby mieć latarnię, choćby prymitywnie urządzone, z jakimś wewnątrz kopącym kangankiem, lub ostatecznie, niech już będzie, że świecą. Proszę mi jednak powiedzieć skąd wziąć świecę, skoro, według rozporządzenia władz, na miesiąc i głowę przeznaczono jeden jedyny ogarek, ważący aż jedną szesnastą część kilograma? Oleju do świecenia używać nie wolno, gdyż przeznaczony jest do omasty potraw, nafty zaś brak zupełny. Choćbyś zresztą w celu swych poszukiwań chciał poświęcić i tę jedyną, przyznając Ci z urzędu świeczkę, czem ją zapalisz, skoro społeczeństwo Wasze weszło obecnie znów w okres „bez-zapałkowości“. O ile znam stosunki, jakie u Was obecnie panują, zaczynam przypuszczać, iż niedługo pojawi się pewnie nowa taryfa maksymalna, według której zapałki pójdą w górę; wiedząc o tem, chowają je spekulanci na lepsze czasy!

Patrząc na to, co się obecnie u Was dzieje, dziękuję Zeusowi, iż zabrał mnie z tego świata, choć bowiem zawsze na małym przestawałem, mieszkając w becze, którą sam wypróżniłem, a za całą przyodziewę służył mi płaszcz, i to do tego dziurawy, dziś, między Wami, byłoby mi przecież bardzo nieswojo. Po pierwsze, nie byłbym w stanie zdobyć się na taki wydatek, by sobie móżdż próżną beczkę choćby tylko wynająć, po drugie zaś, chcąc mój stary, bardzo już ażurowy płaszcz odmienić na nieco nowszy, musiałbym się starać najpierw o pozwolenie i o kartę ubrauiową, a nie jest bynajmniej wykluczonem, iż, choć dotąd neutralności wobec Was szczerze dochowuję, może nie dostałbym jej nawet!

Tak! Tak!... O tem wszystkiem nawet i filozofom się nie śniło i dlatego bardzo jestem zadowolony, iż wykreślono mnie już z listy żywych i byłbym bardzo Ci obowiązany, gdybyś zechciał nie mącić nadal mego spokoju, który cenię nadewszystko.

Za życia znany byłem z tego, iż mówiłem każdemu w oczy prawdę, nie sobie z tego nie robiąc, kto przedemną stoi, a i dziś nie zmieniłem się ani na jotę i dlatego zabieram głos, by sprostować Twe twierdzenia, o co, miewię, chyba się na mnie nie pogniewasz.

Przyjm, kochany Kronikarzu, serdeczny łąpościsk od szczerze Ci oddanego

Dyogenesa, filozofa.

I cóż było robić?... Musiałem i ja przyznać mu rację, bo sądzę, że bynajmniej nie przesadził, utrzymując, iż, choć filozof i to do tego o tak skromnych wymaganiach, dziś nie dałby sobie rady na świecie. Beczki płaci się obecnie na wagę złota, jak się sam o tem przekonałem, z jakimi zaś trudnościami połączone jest sprawienie sobie nowego przyodziewku, mającego okryć cielesną goliznę, wie każdy, kto z uwagą czytał jedną z poprzednich kronik, w której tę sprawę omawiałem.

Porównując dawne czasy z nowymi i ja zaczynam żałować, że nie żyłem przed wiekami, choćby tylko w tym okresie, z którego pochodzi cmentarzysko, odkopane obecnie w Skotnikach. Prócz urn z popiołami i łzawic, w każdym grobie znaleziono miski i miseczki, na których zmarłym podawano jadło, by nie cierpieć głodu na drodze wieczności... Jakże to musieli być dobre czasy, skoro karmiono umarłych i jak wobec nich wyglądają dzisiejsze, kiedy to żywy nie ma co w usta włożyć i czem głodu zaspokoić!

Badacz grobów z naszej epoki będzie kiedyś musiał orzec, iż w czasie srożenia się wojny światowej, którą obecnie przeżywamy, ludzie żywili się tylko wodą i powietrzem, lub nawet ich surogatami.

W jednym tylko dawne czasy są podobne do obecnych, mianowicie pod względem chleba. Doniesiono niedawno, że gdzieś tam koło Upsali wykopano skamieniały chleb, mający pochodzić z przed lat mniej więcej tysiąca. Gazety rozpiśły się o tem, choć nie wiem dlaczego, bo i dzisiejszy chleb, zwłaszcza z niektórych piekarń, dopóki świeży, robi wrażenie klajstru, a na drugi lub trzeci dzień, nie czekając bynajmniej na lat tysiąc, kamienieje. Gdyby dziś żył autor przysłowia: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem“, byłby w kłopotcie, widząc, że skutki uderzenia jednym i drugim są zupełnie jednakie.

O owym skamieniałym chlebie z pod Upsali, wykazującym jeszcze dziś ślady ziarn zboża, a nie trocin, doniesiono właśnie w tym czasie, gdy Kraków, z powodu spóźnienia się transportu mąki, skazaany był na „bezechlebie“. Nie mogąc skamieniałego chleba jeść, bodaj czytaniem o nim mógł każdy chwilowo głód zaspokoić. Tego rodzaju „pożywna“ lektura jest, zwłaszcza w obecnych czasach, polecenia godną i nawet z urzędu wskazaną. Czytając o różnych smakolijkach, jeśli się jest obdarzonym bujną wyobraźnią, można się czuć bodaj chwilowo nasyconym.

Nie należy jednak, broń Boże, obierać sobie za przedmiot lektury dajmy na to książek kucharskich, zaliczanych dziś do tego samego działu, co i „Bajki z tysiąca i jednej nocy“. By treść ich nie drażniła niepotrzebnie szerokich a głodnych kół czytelników, należałoby je obłożyć konfiskatą, to bowiem, co raziła ś. p. Ćwierciakiewiczowa, da się zrealizować dopiero po wojnie, a dziś nie kosztowałoby pięć złotych, ale kilka setek.

Dziś natomiast mogłyby oddać ludziom rzetelną przysługę przepisy, pouczające w sposób przystępny, jak możnaby, mając kartę mączną, cukrową i tłuszczową, oraz bony na zakupno jaj w miejskim składzie, sporządzić z tego pożywną leguminę i jak ją upiec, czy usmażyć rozporządzając na razie tylko kartą na pobór spirytusu denaturowanego.

Autor, czy autorka tego rodzaju przepisów zyskaliby sobie wdzięczność ogółu i prawa do postawienia pomnika jeszcze za życia! Odznaczenie to zaś w Krakowie nielada, jeśli się zważy, że Kościuszko na sam kamień węgielny musiał czekać sto lat, a sceptycy powiadają, że też i na tem się skończy. Kamień zostanie na rynku, skoro mu tam dobrze, statua w koszarach straży ogniowej, a cokol... w projekcie (bo tak najtańiej!...)

Pisząc o sprawach dotyczących aprowizacji, mimowoli uczułem głód. Mam zaś to przyzwyczajenie, że ilekroć jestem głodny, gwizdam, i to bardzo artystycznie nawet, choć mnie tego nikt nie uczył. Ponieważ zaś artystyczne gwizdanie może być bardzo łatwo podciągniętem pod rubrykę sztuki, choć referentem tego działu nie jestem i na sztukach pięknych mało się znam, pozwolę sobie zabrać głos w tej sprawie i odeprzeć z oburzeniem twierdzenie swego kolegi o piórze, który utrzymuje, że w Krakowie, dzięki obojętności przerażającej większości mieszkańców, sztuka, we wszelkich jej odmianach, traktowaną jest po macoszemu.

Tak bynajmniej nie jest, czego dowodem, iż rzeczy, na to zasługujące, znajdują uznanie u ogółu. Świadczy o tem tak drobny i mało znaczący na pozór fakt, jak popisy ślepego dziada z harmonią obok kościoła Dominikanów. Na żądanie śpiewa albo sam, albo w duecie, śpiewa wesoło lub smutno, repertuar jego rozciąga się i na wydarzenia wojenne. Głos jego należycie ustawiony, jakby powiedział zapewne fachowiec, gdy ja natomiast użyłbym w tym wypadku wyrażenia „usadowiony“, gdyż śpiewa, siedząc, w dolnych zwłaszcza rejestrach wykazuje całe bogactwo tonów, nie zawsze przecież zgadzających się z dźwiękami ręcznej harmonii. Winę przypisać należy naturalnie nie śpiewakowi, ale niesforemu instrumentowi, naruszonemu już lekko zębem czasu. Produkcje te mają zawsze licznych i cierpliwych słuchaczy, co zadaje oczywisty kłam twierdzeniu, że Kraków i jego mieszkańcy na sztuce się nie znają, albo, że ją nawet lekceważą.

Albo ów wspaniały film w „Uciesze“, ściągający tam tłumy żądnych wrażeń artystycznych mieszkańców Krakowa obojga płci (z przewagą na stronę żeńską!...) Tytuł, o ile się nie mylę, „Małpa na kominie“, lub coś w tym rodzaju, z jedną z najznakomitszych artystek świata w roli tytułowej. Krakowianie z takim entuzjazmem przyjęli ten film, iż przedsiębiorca może śmiało o sobie powiedzieć, iż „trafił Kraków w samo artystyczne centrum“...

Tak! Kraków zna się na sztuce i umie ją ocenić, ci zaś, którzy twierdzą inaczej, są w błędzie, lub też działają pod wpływem złej woli.

Już to trzeba przyznać naszej P. T. Publiczności,

iż jest zapaloną zwolenniczką kina, spieszy też w jego podwoje bardzo chętnie, najchętniej wówczas, gdy afisz zapowiada jaki targający nerwy dramat, choćby nawet w guście wspomnianej wyżej „małpy na kominie“.

Za tę sympatię, jaką Krakowianie darzą teatry świetlne, zarządy ich nie odwzajemniają się bynajmniej. W ostatnich czasach zniknęły zupełnie z horyzontu, raczej z prześcieradła kinowego, filmy o polskich napisach i trzeba było dopiero wkroczenia energicznego ze strony prasy, by publiczność upominała się o swe prawa, co bowiem jest dobre w Berlinie i Wiedniu, nie musi być koniecznie cierpieniem w Krakowie, który, jak geografia uczy, jest dotąd miastem polskim. Za swoje pieniądze mamy prawo upominać się, by napisy na filmach były dla szerszego ogółu zrozumiałe, skoro niemieckim władą tylko „węższy“.

Tłumaczono się tem, że fabryki temu winny, gdyż tylko takie filmy nadsyłają, wspomniano o wojennych czasach, usiłowano nawet wmówić w ogół, że w Krakowie jest tak wielu Niemców, którzy chodzą stale do kina, iż byłoby wskazaniem zrobić dla nich to „drobne“ ustępstwo, by potem nie narzekali na nie gościnność Krakowian. Ostatecznie przecież ustąpiono pod naciskiem opinii, uznając, iż, kto chce się nauczyć po niemiecku, może to uczynić w domu, nie potrzebując do tego kina. Ponieważ w inny sposób nie można było tej sprawy załatwić, postarano się o sprawienie aparatów projekcyjnych, rzucających na ekran polskie napisy. Lepszy rydz, niż nic, łatwo przecież stać się może to samo, co ongiś miało miejsce przy tak zwanych śpiewających filmach. Równocześnie z aparatem kinematograficznym miał funkcjonować gramofon, ale nikt temu nie winien, jeśli nie byli z sobą w zgodzie. Bohaterka tragicznej opery już dawno wyzionęła ducha na kinowym prześcieradle, a gramofon śpiewał sobie dalej w najlepsze, póki nie skończył. I teraz może się powtórzyć to samo, z tą chyba odmianą, iż napis, rzucony w języku polskim zapowie, dajmy na to: „Powrót teściowej“, bardzo ucielną komedię, a oczom widzów przedstawi się krokodyl, wygrzewający się na brzegu Nilu. Może być także i odwrotnie, zależnie od sprawności operatora.

Gorączka kinowa najprawdopodobniej teraz ostygnie, a to ze względu na rozporządzenie władz, zakazujące opalania w zimowym czasie tego rodzaju lokali rozrywkowych. Zarządzić złemu będzie można w ten sposób, by publiczność nie pozbawić tej przyjemności, iż program składać się będzie albo z obrazów, przedstawiających życie na równiku, gdzie, jak wiadomo, jest tak ciepło, iż tamtejsza ludność za cały strój używa tylko krawatek i „szwimhozów“, lub też tak wstrząsających i szarpiących nerwy dramatów, iż na sam ich widok musi się każdemu zrobić gorąco.

W ten sposób będzie i wilk syty i owca cała. Przedsiębiorcy nie będą pozbawieni dochodów, a publiczność nie będzie narzekać na zimno, które z dnia na dzień staje się coraz większem. Zaczynam też wierzyć, iż mają rację ci, którzy twierdzą, że zbliżająca się zima będzie bardzo ostrą i da się nam porządnie we znaki.

Na politykę zostało mi, niestety, bardzo mało miejsca, a potrzeba go bardzo wiele, choćby tylko dla omówienia samych formuł pokojowych, których jedno z pism codziennych wylicza aż jedenaście. Taka ich kupa, a wojna się nie chce skończyć, być może dlatego tylko, by spełniły się słowa ś. p. lorda Kitchenera, który swojego czasu przepowiedział, że Anglia właściwie czynny udział weźmie dopiero w roku 1918. Ci, którzy byli zdania, że nowoczesna wojna trwać może najwyżej trzy miesiące, widzą, że się zawiedli, pospuszczali też nosy na kwintę, i zaczynają wierzyć, iż nieboszczyk lord powiedział prawdę. Są nawet tacy, którzy przypuszczają, że weźmie on w chwili decydującej osobisty w niej udział, żyje bowiem gdzieś w ukryciu i układa plany przyszłej kampanii wiosennej. Zresztą i siostra jego rodzona utrzymywała, że brat jej żyje i wypłynie na powierzchnię, gdy się tego okaże potrzeba.

Z owych formuł najbardziej podoba mi się żydowska, czyli socjalnego komitetu holendersko-skandy-nawskiego, która brzmi:

„Połowiczne załatwienie wszelkich kwestii spornych drogą targu, przy szczególnem uwzględnieniu interesów żydowskich na obu półkulach“.

Gdyby kto zapytał się, dlaczego właśnie ona, a nie inna, przypada mi tak do gustu, odpowiem, iż z tego powodu, że proponuje tylko „połowicze“ załatwienie kwestii spornych, co bynajmniej nie wyklucza wybuchu nowej wojny za lat kilka o tę właśnie drugą, niezakończoną obecnie połowę. A wiadomo, na wojnie, zwłaszcza jeżeli się jest neutralnym, można zrobić wcale ładny interes. Także i to targowanie jest bardzo sympatyczne, a owo „szczególne uwzględnienie interesów żydowskich“ musi każdego wzruszyć do głębi.